



Prolog Władca Krakowa

Księżyc nad Wieżą Ratuszową miał kolor siarki. Niepokojące...

Mężczyzna o twarzy nienasyconego chomika spojrział w niebo. Potem, jak przed skokiem do wody, zaczerpnął mroźnego powietrza listopadowej nocy, pchnął metalową furtę i wszedł.

Schody prowadzące do podziemi Ratusza były wilgotne, wygładzone krokami, strome. Teodor Łasokoszt musiał walczyć z tuszą, by utrzymać równowagę. Mało brakowało, a jego krągłe, odziane w niemodny garnitur ciało stoczyłoby się w dół, uderzając o stopnie niczym szmaciana piłeczka. Na szczęście do tak wstydlwego wypadku nie doszło – złapał za poręcz i odsapnąwszy, wrócił do pionu. Ruszył dalej. Tym razem każdy metr przed sobą sprawdzał wysuniętą ostrożnie nogą. W ostateczności miała zabezpieczyć zarówno jego, jak i powagę, którą za wszelką cenę pragnął dziś prezentować.

Świadkiem owej powagi była wyłącznie ciemność. Pachniała dobrze zakonserwowanym zabytkiem. Wrażliwy nos Teodora wyczuwał jednak stęchłą nutę zgnilizny. Nic – nawet czas i zabiegi renowacyjne

– nie zdołało zatrzeć atmosfery dawnego lochu, w którym się znajdował. Ściany ziały trupim chłodem; zakurzoną ciszę mąciło echo wycia katowanych skazańców...

A może był to tylko przyspieszony, chrapliwy oddech mężczyzny?

Łasokoszt z trudem opanował drżenie.

„Klient nasz pan!” – pomyślał i chwiejnym, nawet chybotliwym, krokiem zbliżył się do poświaty na końcu korytarza. Krople potu, niczym rosa, lśniły na jego czole i wydętych policzkach.

Kilka uderzeń serca później był na miejscu. Zmrużył oczy, które oślepił blask pochodni, przymocowanych do ścian jak w holu prastarego zamczyska.

„Czy my jesteśmy w... średniowieczu?” – wzdrygnął się, przekraczając próg kamiennej komnaty.

Zenobiusz Zacień bezszelestnie wychynął z kąta.

Teodor podskoczył. Sekretarz Rady Miejskiej zatarł ręce i wyszczerzył poźółkłe zęby, przez co jeszcze bardziej przypominał wychudłą nornicę. Wrażenie potęgował osobliwy strój: uszyte ze śliskiego materiału spodnie i kamizela zdawały się ociekać wilgocią, jakby Zenobiusz wylazł z przesiąkniętej deszczem gleby czy błota. Teodor wiedział, że nie jest to prawda. Sekretarz, a przede wszystkim jego zaufany współpracownik, przybył do Ratusza wcześniej, aby – jak sam mówił – „dopiąć wszystko na ostatni guzik, na najmniejszy choćby guziczek”. Teraz ruchem kościstego ramienia wskazywał niecodzienne dzieło.

– Panie Prezydencie – syknął. – Czyż nie jest legendarnie? Wystrój z pewnością przypadnie klientom do gustu.

Podziemia Ratusza wyglądały bardzo... staroświecko. Łasokoszta zaskoczyły gobeliny i wyścielająca podłogę skóra niedźwiedzia, a najbardziej – myśliwskie trofea pod sufitem. Szklane oczy rogatych zwierząt podejrzliwie łapały w stronę stołu, który zajmował środek pomieszczenia. Po jego przeciwległych stronach stały siedziska

z masywnymi oparciami. Teodor skojarzył je z tronami dawnych, jeszcze półdzikich, władców.

– Dobrze – mruknął cicho. – Dziennikarzy nie będzie?

Zenobiusz wymownie przekrzywił głowę. Znów wyszczerzył zęby.

– Media otrzymają stosowne informacje później. Zależy nam na... – zawahał się przez moment – dyskrecji, nieprawdaż?

Prezydent Miasta Krakowa przytaknął, po czym zasiadł przy stole. Sekretarz podsunął mu kielich, który musiał liczyć setki lat. Chrząknął, a do komnaty wkroczyli odziani w czerń mężczyźni. Nieśli rożen, na który nabito upieczonego w całości barana. Gdyby nie zerkał do kalendarza, Teodor uwierzyłby, że jest panem średniowiecznego grodu.

– A to... po co? – zapytał niepewnie. – Myślisz, że dalej...

– Baranina powinna posmakować klientom! – zapewnił Zacień. – Jak już wspominaliśmy, ważne, by wstrzelić się w... gusta, odpowiednio zaprezentować.

– Odpowiednio dla... nich – Łasokoszt przełknął ślinę.

Jego pokryte gęsią skórą dłonie drżały, dokładniej – dygotały. Zacisnął usta, by współnik nie słyszał, że dzwonią mu zęby. Musiał zachować powagę. Czekał.

Nagle rozległo się skrzypnięcie, jakby ktoś otwierał wieko starej konserwy. Pochodnie zamigotały i zgasły, bo do komnaty wpadł powiew lodowatego wiatru. Zapach siarki niemal wyparł powietrze, w którym rozbrzmiały dudniące kroki. Coś rozparło się w przygotowanym fotelu, a ten zatrzęszczał żałośnie, z trudem utrzymując ciężar.

Teodor wiedział, kim jest przybysz. Był na to przygotowany, ale strach i tak zawiązał mu jelita w supeł. Dziwił się, że ciągle oddycha.

Zenobiusz, trzęsąc się na całym ciele, zaczął przywracać światło. Nie zdążył albo raczej – wyręczono go. W mroku świsnęły błękitne płomienie, od których znów zrobiło się jasno.

W chłodnym blasku dygnitarze ujrzeni delegację. Smoczą delegację.

Potrzebowali paru minut, by w pełni pojąć, jak bardzo się co do niej mylili. Żaden z członków grupy nie przypominał krwiożerczej bestii rodem z legend, żaden nie był też większy niż postawny człowiek.

Przewodziła im srebrna smoczyca, która zasiadła na drewnianym tronie, wytwornie krzyżując nogi w butach na wysokim obcasie. Miała na sobie kobaltową marynarkę, opinającą talię spódnice z wysadzonym ćwiekami pasem i śnieżnobiałą bluzkę, spiętą rzeźbioną w kwiat broszą.

Skrzydła przybyłej były delikatne niczym błona lotna nietoperza, struktura łuski przypominała ludzką skórę. Jej twarz można by wziąć za twarz atrakcyjnej kobiety. Jedyny problem stanowił kostny grzebień, który jak wachlarz rozpościerał się w miejscu, gdzie kobietom zwykle rosną włosy. Najeżoną tępyimi kolcami kaskadą spływał aż pod kołnierz bluzki, by gdzieś na plecach połączyć się z kręgosłupem. Kręgosłup zaś przechodził w zakończony kolcem ogon, który urodziwa delegatka złożyła na kolanach.

Towarzyszący jej strażnicy prezentowali się niemniej olśniewająco – spod płaszczy wyzierały muskularne torsy, na które nałożono srebrne napierśniki. Z pozoru podobne do rycerskich, wyglądały jednak zaskakująco współcześnie, wręcz kosmicznie w perfekcyjnie geometrycznej stylizacji.

Nowoczesność skrzydlatych gadów wprawiła Prezydenta Miasta Krakowa i Sekretarza Rady Miejskiej w niemałe zakłopotanie, które powiększyło się jeszcze, gdy elegancka smoczyca omiotła wnętrze lochu zde gustowanym wzrokiem. Skrzywiła się zwłaszcza na widok szerniałego barana.

– Cóż... – przemówiła aksamitnym altem. – Mniemam, iż nie będziemy tracić czasu. Nazywam się Mespera Radracoss i jestem *Hummad*llanocci*, Nadworną Prawnik oraz pełnomocniczką Jej Ognistości Zempfer Draregiss*rapthiss Rezz, Monarchini Dragonus Cracovus

i Królowej Drago*zoii. Pan, jak mnie poinformowano, jest władcą Krakowa, a także inicjatorem i stroną transakcji.

Teodor Łasokoszt przełknął ślinę i nieznacznie skinął głową.

– Przejdźmy zatem do rzeczy – Mespera klasnęła w szponiaste dłonie.

Jeden ze strażników ustawił na stole flakon z błękitnego kryształu. Naczynie wspierało się na metalowych nóżkach, które zgrzytnęły, po czym wydłużyły, unosząc je w górę. W środku zamigotał ciemny płyn.

– Przede wszystkim – kontynuowała Nadworna Prawnik – Jej Ognistość pragnie wyrazić swoją wdzięczność wobec ciebie, władco Krakowa, oraz wobec wszystkich, którzy gotowi są uznać zasadność naszych roszczeń. W dowód przyjaźni przysyła Ci *Rezze*lavva*, Królewski Napój, aby odpowiednio uczcić i przypieczętować to wiekopomne porozumienie.

Odpowiedzią był nieskładny bełkot. Teodor patrzył to na podarunek, to na smoczykę. Może i jest w tej chwili „władcą Krakowa”, ale żadna siła nie zmusi go, by choć powąchał miksturę, którą mu podsuwano.

– Wołałbym już załatwić, co trzeba – wykrztusił, w miarę zrozumiale formułując słowa. – Omówmy... zapłatę i te sprawy!

Mespera westchnęła.

– Tak myślałam – rzekła chłodno. – Zakładam, iż w kwestii ceny nic nie uległo zmianie.

Na dźwięk słowa „cena” Teodor i Zenobiusz otworzyli usta. Smoczyca machnęła ręką, jakby oddalając ich zastrzeżenia.

– Zgodnie ze wstępnie ustalonymi paragrafami umowy – podkreśliła – królowa oferuje siedemdziesiąt siedem milionów sztabek dwudziestoczyterokaratowego złota, trzydzieści trzy beczułki brylantów oraz dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy ludzkich banknotów. Dodatkowo jesteśmy skłonni oddać wszelkie włości Zempher

Draregiss*rapthiss Rezz ... do pana i pańskich współników WYŁĄCZ-
NEJ dyspozycji...

Pauza. Mespera niby od niechcenia sięgnęła po misternie rzeźbioną szkatułę, wykonaną – jak większość smoczych przedmiotów – z błękitno-białego kryształu. Uchyliła wieko i z wyścielonego aksamitem wnętrza wyjęła zwój dziwnego materiału. Przypominał pergamin. Pergaminem jednak być nie mógł, bo muśnięty promieniem światła, zaśnił, jakby został pokryty cienką niczym skrzydła ważki warstwą srebra.

– Pozostaje złożyć podpis... – delegatka ostrożnie rozwinęła umowę.

Sekretarz Rady Miejskiej wytrzeszczył oczy. Prezydent Miasta Krakowa zapomniał, że jest Prezydentem i oblizywał się jak łakome dziecko.

– Gdzie pióro?! – wykrzyknęli obaj.

Znienacka zamigotał srebrny sztylet. W rękojeści zatopiono karminowy rubin.

– Odwieczny zwyczaj nakazuje, by tak ważne dokumenty podpisywać krwią – wyjaśniła Nadworna Prawnik. – Nieprawdaż?

Zapanowała cisza. Wreszcie Łasokoszt skrzywił się i przeciągnął ostrzem po wnętrzu dłoni, które pękło, a sącząca się z rany purpura wypełniła linie papilarne.

„Interes to w końcu interes!” – pomyślał, po czym złożył podpis na podsuniętej mu umowie. Teraz poczuł się znacznie pewniej.

– Gdzie MOJA zapłata?

– W ustalonym miejscu – Mespera splotła szpony w piramidkę.

Spotkanie dobiegło końca. Teodor Łasokoszt – choć przedtem nie wierzył w smoki – łatwo uporał się z faktem, że sprzedał im Kraków. Kiedy pewnej nocy na biurko w prezydenckim gabinecie trafiło orędzie Zempher Draregiss*rapthiss Rezz, która w imieniu Dragonus Cracovus postulowała o pokojowy zwrot Krakowa prawowitym – jej zdaniem – właścicielom, chciwy polityk dostrzegł niepowtarzalną

szansę pomnożenia majątku. Wraz z gronem zaufanych i równie zachłanych współpracowników uknuł sprytny plan – podając się za jedynego władcę miasta, obiecał zaakceptować prawa smoczjej populacji oraz odsprzedać Zempher królewską metropolię. Tak za niewyobrażalną sumę siedemdziesięciu siedmiu milionów sztabek dwudziestoczerokaratowego złota, trzydziestu trzech beczulek brylantów i dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu tysięcy banknotów oddał w ręce skrzydlatych gadów, co dało się oddać, a i to, czego się nie dało. Nawet autonomię miasta.

To, dlaczego Dragonus zależy na Krakowie – stolicy zabytków i ojczyźnie legendy o Smoku Wawelskim – nie obchodziło go w ogóle. Nie zadawał pytań. Liczyło się tylko jedno: Zempher Draregiss*rapthiss Rezz dobrze płaci.

Interes to w końcu interes.



Mgła na podkrakowskim lotnisku miała kolor siarki. Niepokojące...

Albert Podchmurka, młody pracownik Wieży Kontroli Lotów, nerwowo przekrzywił głowę, po czym podrapał się za odstającym uchem. Uważał, że jest człowiekiem dość opanowanym. Widok skłębionej brudną żółcią chmury, która pełzła po płycie lotniska, przyprawił jednak o dreszcze. Mężczyzna czuł rosnący lęk. Wzdrygnął się.

– Co z tym... zrobimy? – wykrztusił, przekonany, że reszta ekipy podziela nieprzyjemne uczucia.

Choć była to prawda, nie odezwał się nikt. Erazm Podchmurka, jego ojciec, a także bezpośredni przełożony, ziewnął tylko. Brak doświadczenia i niezdarność Alberta sprawiły, że przywykł traktować syna nie całkiem poważnie.

– Nic – odparł z obojętnością, jaką wywoływały długie godziny pracy. – Nadeszło, to i odejdzie.

– Nie powiedziałbym – zasugerował nieśmiało Albert.

Siarkowa mgła wydawała mu się czymś nienaturalnym, wręcz upiornym. Spadła z przestworzy, gnana mocnym, zimnym wiatrem.

„Czy on naprawdę tego nie widzi?” – pomyślał, obserwując, jak opar gęstnieje.

– Nie sądzę, by w takich warunkach można było w ogóle startować – dodał na głos.

Ze wszystkich sił starał się brzmieć profesjonalnie, co nie pasowało do jego wydłużonej postaci i uszu, przypominających słoniowe.

– Co ty nie powiesz... – Erazm, który wyglądał z kolei jak siwa wydra, uśmiechnął się pobłaźliwie. – Ale widzisz, tak się składa, że nie ma w tej chwili żadnych odlotów.

– A przyloty? – młody mężczyzna przełknął ślinę.

– Rzuć okiem na radar.

Albert dał za wygraną i przyjrzał się odczytom przyrządów, które pokazywały pozycję zmierzających do Krakowa samolotów. Szeroki ekran ział pustką.

– Rzeczywiście... – zawstydzony, przejechał dłonią po twarzy.

Nagle jego uszy przeszył ogłuszający dźwięk. Powietrze drgnęło, zawibrowało.

Załoga Wieży Kontroli Lotów zamarła. Spokojny dotychczas radar sprawiał wrażenie, jakby miał eksplodować. Ekran wypluwał czerwone błyski, a kilka kontrolerek migało, niby rozpaczliwie wołając o pomoc.

Albert potknął się i zatrzymał na stole. Jego ojciec zmarszczył brwi, po czym ostrożnie poklepał urządzenie.

– No już, malutki – szepnął jak do ukochanego pupila. – Spokojnie...

Radar nie reagował i wył nadal.

– Przycisnąłeś coś? – fuknął głucho Erazm.

– Nie – jęknął Albert. – Ja naprawdę...

Starszy mężczyzna nie słuchał go już w ogóle.

– Kontrola systemu... kontakt... dane... Niemożliwe!
Pracownicy rzucili mu pytające spojrzenia.

– Leci tu dziewięć niezidentyfikowanych samolotów – sapnął z przerażeniem.

– Niezidentyfikowanych?! – załoga wytrzeszczyła oczy.
Erazm potwierdził roztargnionym skinieniem głowy.

– Takie rzeczy... Takie rzeczy się nie zdarzają – dodał wśród grobowego milczenia. – Ale... Spróbujemy nawiązać łączność. Albercie!

Albert Podchmurka włożył wielkie słuchawki i zbliżył wargi do mikrofonu, przez który Wieża zwykła rozmawiać z załogą samolotu. Biały jak papier, wcisnął odpowiedni przycisk. Usłyszał próżnię.

– Nie odpowiadają!

– Próbuje do skutku.

– Cisza – zameldował.

– Daj mi to! – Erazm wyrwał z rąk syna mikrofon, po czym sam założył słuchawki.

Radar tymczasem pulsował purpurą i wcale nie zanosilo się, by miał przestać. Tym bardziej zdziwiło wszystkich, gdy wtem ucichł, zgasł. Umieszczony powyżej głośnik drgnął lekko. Później rozległ się głos. Głos, jakiego nikt z obecnych nigdy jeszcze nie słyszał.

– *Uthem*ilccol, umma?*
Kontrolerzy lotów zadygotali.

– Jesteś tam, człowieku?! – powtórzono ochryple.
Poblady Erazm wahał się chwilę.

– Je... ste...m... – wyjąkał wreszcie.

– Tak też myślałem – warknął tajemniczy rozmówca. – Słuchaj...
Zaraz lądujemy.

– Jak... to „lądujecie”?! Proszę poczekać! Kim pan...
– Mamy dziewięć *Mhee”furfu’r*, znaczy Ścigaczy Wiatru... Znaczą dalekolotów, czy jak to się u was zwie... **POTRZEBNE BĘDZIE CAŁE LOTNISKO.**

- Ja...

Usłyszeli ryk. Upiorna mgła zawirowała, po czym uderzyła w Wieżę Kontroli Lotów z siłą i wściekłością huraganu. Pracownicy, bliski omdlenia Albert oraz jego oniemiały ojciec obserwowali, jak z rozprutego granatu nieba spływa kilka olbrzymich kształtów. Wysuwając coś w rodzaju szponiastych łap, jeden po drugim czepiały się ziemi, która dudniła, jakby tytan bił w gigantyczny bęben.

- Nie! - szczęka Alberta opadła, a jej właściciel odniósł wrażenie, że już nie powróci na normalne miejsce.

Wzdłuż płyty lotniska sunęły SMOKI. Tak przynajmniej początkowo myśleli, ale Erazm zorientował się, że są to raczej monstrualnych rozmiarów maszyny. Przypominały potwory rodem z baśni, lecz przeznaczeniem nie różniły się chyba od samolotów. Metal, z którego zostały wykonane, ozdobiono symetrycznymi figurami, a ornamenty połyskiwały niczym łuski wyciągniętej na brzeg ryby. Między lśniącoymi wzorami migotały rzędy świateł, które zbiegały się w przedniej części każdego *Mhee*” *furfur*, tworząc zarys wielkich oczu i rozwartej paszczy. Świetlisty kontur podkreślono jaskrawym wypełnieniem, dzięki czemu dziwaczne pojazdy szczyrzyły kły jak najprawdziwsze bestie. Buchały też żółtymi oparami, których wstęgi wydobywały się z zamontowanych pod skrzydłami, świszczących generatorów.

Kiedy ostatni ze Ścigaczy dotknął ziemi, zapadła cisza; głuchy, świdrujący uszy bezdźwięk, jaki następuje po okropnym hałasie.

Wreszcie drzwi największej z maszyn rozwarły się, a z wnętrza trysnęły smugi błękitnego blasku. Nie wiedzieć skąd wyskoczyły metalowe stopnie, które w kilka sekund sięgnęły podłoga. Zszedł po nich potężnie zbudowany jaszczur w garniturze. Rozejrzył się i sięgnął do kieszeni. Kryształowy przedmiot, który ścisnął, był chyba czymś w rodzaju telefonu. Smok szybkim, niemal błyskawicznym, ruchem przyłożył go do grzebieniastej głowy.

Gdyby któryś z pracowników stał teraz obok, z pewnością rozpoznałby ów charakterystyczny głos. Ale oni tkwili w Wieży, zbyt przerażeni, by ruszyć się choć o krok.

– *Honn*Vlamicci* – rzekł tymczasem przybysz. – *U^Mthel’~deva-pharerr*. Ostatnie słowo znaczyło: „Wylądowaliśmy”.